

Koniec mitu?

1 września 2013

„Solidarność” była nadzieją na trzecią drogę między etatyzmem Wschodu a kapitalizmem Zachodu. Stała się jednak parawanem dla operacji uwłaszczenia nomenklatury, a dziś, gdy wszystko się już dokonało, jest zbędna nawet jako dekoracja w spektaklu władz. W razie problemów ze społeczeństwem zawsze można wyciągnąć islamskiego terrorystę i udawać, że nie wiemy skąd się wziął.

A skąd wzięła się „Solidarność”? Według oficjalnej wersji, robotnicy zrobili strajk zakończony powstaniem „Solidarności” pod wpływem agitacji KOR itp. czy wiadomości o protestach w kraju z Radia Wolna Europa. Z kolei Kościół twierdzi, że „Solidarność” powstała pod wpływem wyboru papieża-Polaka i jego pielgrzymki do kraju. Inni mówią, że była to prowokacja władz, a ściślej tej część, która chciała pozbyć się Gierka i zająć jego miejsce, a nawet zmienić system (uwłaszczyć nomenklaturę) i potrzebowała „protestu społecznego” w walce o wpływy, licząc na to, że tak jak w latach 1956 i 1970 wkrótce wszystko wróci do (nowej) „normy”.

Gdy idzie o inspirację pozasystemową, trzeba jednak spytać, dlaczego nie działało to w innych częściach kraju, szczególnie tam, gdzie sięgał wpływ KOR (Radom, Ursus, Warszawa) czy miała miejsce wizyta papieża, lecz stało się właśnie na Wybrzeżu, szczególnie w Gdańsku? Lawrence Goodwyn w pracy „Jak to zrobiliście?” twierdzi, że Sierpień '80 i jego elementy, takie jak strajk okupacyjny, międzyzakładowy komitet strajkowy i żądanie wolnych związków zawodowych, to owoc doświadczeń 35 lat walki robotników z komuną. Nikt im tego nie mógł podpowiedzieć, przeciwnie, i KOR etc., i Kościół robiły wszystko, by strajk poddać, a przynajmniej ograniczyć radykalizm żądań (dowodem cytaty z wypowiedzi prymasa Wyszyńskiego i Kuronia, który jeszcze długo potem mówił, że myślał, iż to niemożliwe i nadal tak myśli).

Nie było więc żadnej inspiracji z ich strony, w najlepszym razie nie przeszkadzali, normalnie rzecz biorąc „samoograniczali rewolucję”, w najgorszym byli agenturą systemu. To samo odnosi się do teorii prowokacji ze strony bezpieki, bo nawet jeśli miała miejsce, ruch był już na tyle silny, że sam zaczął pisać scenariusz wydarzeń i trzeba było stanu wojennego i zdrady (agenturalnej części) kierownictwa Związku, by sytuacja wróciła do „normy” i spektakl potoczył się, choćby w przybliżeniu, wg scenariusza władz (układ w Magdalence zaprezentowany przy „okrągłym stole”, uwłaszczenie nomenklatury, zniszczenie miejsc pracy etc.), a i to nie w pełni (nie udało się im zachować, jak w Chinach, pełni władzy i muszą grać w demokrację).

Robotnicy uczyli się ze swych doświadczeń, dlatego w Radomiu, Ursusie i Płocku w 1976 r. wyszli na ulice, ale w Gdańsku wtedy i w 1980 (dzięki doświadczeniu roku 1970) woleli strajkować, czego próbowali już w drugiej fazie 1970 r. i w 1971 r. Jak wyglądała samoedukacja? Jej początek to „wydarzenia poznańskie” 1956, jednak – inaczej niż w klasycznym ujęciu – walki uliczne to nie początek, lecz koniec tej fazy ruchu. Nie był to spontaniczny protest, a owoc długiej walki, jaką załoga zakładów Cegielskiego toczyła z władzą, od kierowników wydziałów i dyrekcji zakładu po władze lokalne i rząd. Dopiero negocjacje w ministerstwie i złamanie słowa przez ministra zdecydowało o wyjściu na ulice, by przeciw polityce władz zaprotestować „na oczach świata” przy okazji międzynarodowych targów. O ile załoga Cegielskiego zorganizowała się w ciągu miesięcy sporów, inni uczestnicy protestu nie byli doń przygotowani. Część zakładów miała kontakt z Cegielskim, dzięki czemu błyskawicznie przyłączyły się do pochodu, w centrum miasta jednak nikt nie opanował tłumu, co doprowadziło do rozruchów i wyjścia wojska na ulice.

Mimo stłumienia protestu, napięcie w kraju trwało, co wewnątrzpartyjna opozycja wykorzystała w celu usunięcia ekipy rządzącej i zastąpienia jej Gomułką. Na fali walk w łonie

partii reaktywowano i ideę samorządu, ale szybko okazało się, że komuna nie lubi „władzy rad”. Obok niechęci Gomułki, który likwidował je i w latach 1940., zadecydowała o tym słabość załóg, ich brak doświadczeń i możliwości dzielenia się tym z innymi. To na niszczeniu organizacji społeczeństwa i wymiany między różnymi grupami polega cenzura – nie tylko na kontroli mediów, jak widzi to zainteresowana wolnością słowa inteligencja.

W efekcie na ogół udało się bez oporu zmanipulować, potem zlikwidować rady. Potrzebny był inny pomysł, organizacja ludzi na skalę już nie zakładu, lecz miasta czy całego kraju. Poznań był już na to za słaby, nowa jakość ruchu zjawiała się na Wybrzeżu.

O jego roli decydował charakter pracy w portach – kontakty z robotnikami z innych krajów, co jest regułą w świecie (ruch robotniczy w portach ma radykalniejszy charakter niż w innych zakładach, co dotyczy i górników, ale ci nie są tak otwarci jak portowcy). Pierwsze protesty miały miejsce już w drugiej połowie lat 1950., gdy na Wybrzeżu doszło do antyradzieckich wystąpień oraz do strajków ekonomicznych, a nawet groźby akcji solidarnościowej stoczniovców w obronie rybaków, co starczyło, by władze odstąpiły od represji za strajk. Do prawdziwego wybuchu doszło w 1970 r., gdy w reakcji na podwyżki cen żywności stoczniovcy wyszli na ulice, podpalamo komitet partii, rabowano sklepy, doszło do walk z milicją. I tu zaszło coś dziwnego – działacze partii w stoczni, nie chcąc dopuścić do ponownego wyjścia ludzi na miasto, rzucili hasło strajku okupacyjnego. Była to mało już znana broń robotników polskich, odkryta w latach 1930. (wraz z Polonią dotarła wówczas do USA, gdzie tę formę walki nazywa się „strajkiem polskim”).

Paradoks polega na tym, że to, co miało ograniczyć ruch protestu, stało się potem jego główną siłą. W Stoczni Gdańskiej robotnicy szybko przejęli władzę w utworzonym przez partię Komitecie Strajkowym, w Gdyni w ogóle nie wyszli na ulice, od razu zaczęli strajk, powołali też międzyzakładowy

komitet strajkowy, choć nieco na wyrost – podobnie jak w Szczecinie, opierał się on na sile paru zakładów, nie całego regionu. MKS rozpoczął układy z władzą lokalną, ale władze centralne aresztowały obie strony, wzywając jednocześnie na przemian do pracy i pozostania w domu, co było najpewniej celową prowokacją – do idących do pracy zaczęto strzelać, doszło do rozruchów, podobnie jak w Szczecinie, choć tam szybko doprowadzono do układów władzy lokalnej z MKS, wojsko i milicja robotnicza wspólnie zaczęły patrolować miasto, a w efekcie sporów w partii Gomułkę zastąpił Gierek, który zrazu próbował zmanipulować robotników (słynne „pomożecie?”) i nie odwołał podwyżki, ale kolejne strajki w Gdańsku, Szczecinie i Łodzi (styczeń i luty) wymusiły ustępstwa. Partia nie zgodziła się na wolne związki zawodowe (już wtedy padło to żądanie), za to dokonano częściowo wolnych wyborów władz oficjalnych związków, dzięki czemu do ich kierownictwa weszli prawdziwi działacze niezależni.

Okazało się szybko, że tak jak w latach 1940. i 1950. decydowanie przez robotników na dole (rady zakładowe) niewiele znaczy wobec tego, że lepiej zorganizowana partia może swą wolę narzucić na poziomie centralnym, a tam, gdzie nie udawała się manipulacja stosowano represje (działacze wyrzucano z pracy, zmuszano do emigracji, czasem i zabijano). Z drugiej strony, w Gdańsku zaczął się tworzyć niezależny ruch robotniczy, m.in. na bazie obchodów rocznicy masakry na Wybrzeżu w 1970 r. Po rozruchach w 1976 r., do których doszło w kilku miastach (znacznie liczniejsze były, o czym mało się wie, strajki w całym kraju) oraz represjach wobec robotników Radomia i Ursusa, opozycja inteligencka w Warszawie zorganizowała najpierw pomoc dla ofiar prześladowań, następnie rzuciła hasło tworzenia WZZ, jednak brak efektów (w Radomiu zgłosił się tylko jeden człowiek) i obawa przed represjami wobec nielicznych działaczy sprawiły, że KOR wycofał się z tego, a nawet wystąpił przeciw komitetom założycielskim WZZ na Śląsku i w Gdańsku. Chcąc dogadać się z reformatorami w partii, robotnikom proponował, by dążyli do opanowania

oficjalnych związków (nie mając ich doświadczeń, nie rozumiał, iż to ślepa uliczka, o czym robotnicy przekonali się wiele razy). Tymczasem WZZ i gdańska opozycja wybrali inną drogę niż proponowana przez Warszawę, tworząc własny związek (aż po jego jawne struktury), organizując wydawnictwa i akcje protestacyjne.

Gdy w 1980 r. doszło do kolejnych strajków w reakcji na następną podwyżkę cen, byli oni – inaczej niż reszta kraju – gotowi do walki o swe postulaty, znacznie wychodzące poza żądania płacowe. W innych ośrodkach (nawet gdy strajk ogarniał całe miasto, jak w lipcu w Lublinie) wystarczyło dać trochę kasy, by protest się skończył. Natomiast w Gdańsku od razu zażądano, obok podwyżki płac, uczczenia ofiar roku 1970 i legalizacji WZZ. Stocznia dostała swoje dość szybko i po dwóch dniach chciano skończyć strajk, ale na prośbę mniejszych zakładów podjęto wbrew nadziei władz strajk solidarnościowy, tworząc MKS, w którym już pierwszego dnia afiliowało się ponad 100 zakładów pracy z regionu gdańskiego. Ważnym momentem była odmowa negocjacji z władzami poza Stocznia oraz włączenie radiowęzła dla ich transmisji, by cała załoga wiedziała, co jest grane (tego właśnie brakło w stanie wojennym, „Solidarność” mogła mimo represji mówić do społeczeństwa, ale społeczeństwo nie mogło mówić do swych przywódców, w efekcie czego układy z władzą stały się dla nich ważniejsze niż realizacja postulatów ludzi, z którymi przestano się liczyć). Pozwoliło to uniknąć manipulacji, budując wzajemne zaufanie strajkujących i dając poczucie siły. Inny element tej organizacji to sieć kurierów, których MKS wysyłał w Polskę. Gdy decydenci pod wpływem rosnącego zasięgu strajku, czyli uderzenia w punkt najczulszy dla władzy opartej o kontrolę produkcji, zdecydowali się na negocjacje z MKS, ten zażądał jako warunku wstępnego zaprzestania represji (zatrzymań i pobić) wobec kurierów i ponownego uruchomienia połączeń telefonicznych z krajem, bo wiadano, że tylko jawny obieg informacji może uniemożliwić władzy manipulację i rozbicie strajku przez brak zaufania i solidarności (zabawne, że

nieświadomy niczego Kuroń myślał, iż obrona „osób wspierających strajk” dotyczy jego i innych członków opozycji a nie kurierów, o których roli mało kto wie do dziś).

Władza musiała ustąpić wobec fali strajków ogarniających cały kraj, ale nie miała zamiaru pogodzić się z istnieniem społeczeństwa zorganizowanego, czyli istniejącego na serio. Sposoby były dwa – sztucznie wywołane przez rząd trudności w zaopatrzeniu (aż po granice głodu) i utrudnienia działań niezależnych oraz ataki na działaczy Związku z prowokacją bydgoską w marcu 1981 r. na czele (szło o pobicie członków zarządu regionu „Solidarności” obecnych na spotkaniu z władzą lokalną). O ile na dole Związku prowadziło to do radykalizacji (dążenia do objęcia kontroli nad produkcją przez oddanie zakładów pracy samorządom pracowniczym, jak w latach 1940. i 1950., czy wręcz pomysły akcji bezpośredniej w postaci strajku czynnego), góra była skłonna do ugody i „samo-ograniczania rewolucji”, w dużym stopniu pod wpływem tzw. doradców (dziś już wiemy, że nie tylko strach był źródłem takiej postawy, ale i praca dla bezpieczeństwa). Owocowało to demobilizacją Związku, m.in. przez ciągłe odwoływanie strajku generalnego – warto tu dodać, że strajk generalny, tak jak idea solidarności i organizacja regionalna związku zamiast branżowej, to elementy typowe dla syndykalizmu.

To właśnie ugodowa postawa przywódców opozycji, spopularyzowana pod wpływem agentury, skłoniła władze do ataku na społeczeństwo 13 grudnia 1981 r. (czasem mówi się o „mniejszym złe”, większym była rzekomo interwencja radziecka, ale wg badań nic nie wskazuje na to, by ktoś w Moskwie był do niej gotów, a rzeczywiście „większym złem” w oczach władzy było zorganizowane społeczeństwo i to je wówczas likwidowano). Stan wojenny przerwał po raz kolejny komunikację społeczną. To oraz represje – od strzelania, bicia i więzienia za czynną walkę po głodzenie całego narodu i wydzielanie na „kartki” jak za okupacji wszystkiego, co potrzebne do przeżycia – w ciągu 7 lat doprowadziło do osłabienia samo-organizacji i woli oporu.

Gdy władze uznały, że społeczeństwo dojrzało już do operacji, a dłużej czekać się nie da wobec pojawienia się i radykalizacji młodej opozycji, rozpoczęto spektakl „okrągłego stołu”.

Mówię o „spektaklu”, bo wszystko było nie tak: w latach 1980-1981 władze stawiały zbrojny opór 10-milionowemu Związkowi, w latach 1988-1989 podjęły negocjacje mimo poddania paru niewielkich strajków w Nowej Hucie i Gdańsku. 13 grudnia Jaruzelski wydał rozkaz strzelania do rodaków w imię „socjalizmu bronionego jak niepodległości”, a w końcu lat 1980. sam go likwidował, zastępując neoliberalizmem – najbardziej agresywną formą kapitalizmu: interwencją państwa w interesie biznesu kosztem całej reszty – w postaci „planu Messnera → Rakowskiego → Balcerowicza”, gdy na serio to „Solidarność” z lat 80/81 była jedyną realną szansą na „władzę rad” (mówił o tym jej program „Samorządna Rzeczpospolita”). Dawna „Solidarność” rodziła się oddolnie, natomiast ta druga – z nominacji Wałęsy i tych, którzy za nim stali – robiła za parasol (pamiętamy go z plakatu wyborczego), dzięki któremu można było przeprowadzić operację sprzedaży za bezcen naszych zakładów nomenklaturze partii i opozycji oraz obcemu kapitałowi, a następnie je zlikwidować wszędzie tam, gdzie stanowiły konkurencję dla ich biznesu (nieliczne przypadki, gdy ludzie nie dali się oszukać, próbując samorządności czy oporu przeciw prywatyzacji, łamano siłą, jak w białostockim MZK czy później w Ożarowie).

We współczesnym świecie brakuje formacji demokratycznych – komuna oskarżała kapitalizm o niesprawiedliwość społeczną i bezrobocie, on ją o łamanie praw człowieka i obywatela, a oba systemy zwalczały demokrację pod pozorem, że służy drugiej stronie czy anarchii (dziś służy temu „walka z terroryzmem”). Nie doceniała ruchu robotniczego i inteligencja, wierząc, iż chodzi mu o kasę, a nie o wolność i demokrację. Dla inteligencji „lewicowość” polega nie na obronie biednych, lecz na potępianiu systemu za jego konserwatyzm w sprawach

obyczajowych, więc starczy być za przerywaniem ciąży i ślubami gejów, by uchodzić za lewicę nawet wtedy, gdy broni się neoliberalizmu, jak np. SLD. Dziś, póki co, jest inaczej – trochę biedą a trochę manipulacją mediów doprowadzono do tego, że robotnicy walczą o kasę na konsumpcję, co jest akceptacją systemu (gdyby szło o demokrację w ekonomii, samorządną republiką – znów grałoby to zasadniczą rolę w walce z systemem). Zatem zadymy i niezależne media (to w praktyce to samo) nic nie dają, bo wolno to robić – pogłębia się tylko szum informacyjny rynku.

Pomysłem byłaby solidarność, strajki o zasadę a nie kasę, ale nie ma na to chętnych. Równie trudno ją uzyskać z drugiej strony, jako konsument (nie producent) w postaci bojkotu rynku. Dziś w system łatwiej byłoby ugodzić takim „strajkiem”, być może „czynnym” (samodzielne robienie tego, czego potrzebujemy, zamiast kupować na rynku), co idzie zresztą ku przywróceniu bazy dla dawnej demokracji, gdzie człowiek sam dla siebie produkował towary, kulturę i system. Póki co ogół woli ofertę rynku – „kup”!

W efekcie nie tylko inteligencja nie umie już sama wydawać „bibuły” i czeka na dotacje od rządu czy fundacji, albo że ktoś jej coś wyda i opłaci prawa autorskie etc., ale i rolnik „umiera z głodu”, gdy nie kupi jedzenia w sklepie. Stąd i skupienie słabnącego ruchu związkowego na walce o kasę na konsumpcję (czy przeżycie?) zamiast walki o samorząd pracowniczy. Czy idea „Solidarności” jest już tylko historią i największa szansa ustanowienia rzeczywistej demokracji stała się kolejnym mitem (a może i to nie, przynajmniej u nas, przez rozczarowanie tym, co się stało po roku 1989)?!

Autor: Janusz P. Waluszko

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Janusz P. Waluszko (ur. 1962) – działacz społeczny,

współtwórca Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego i Federacji Anarchistycznej, współorganizator wielu akcji i kampanii od początku lat 80. do dziś. Arianin, zajmuje się wolnościowymi aspektami sarmatyzmu, a ostatnio miastem jako środowiskiem naturalnym współczesnego człowieka. Autor prac „Sarmacja” i „RSA”, od 1978 r. wydaje prywatne pismo „NIErząd”, przez kilka lat był członkiem redakcji anarchistycznego miesięcznika „Mać Parjadka”, opublikował setki artykułów w prasie alternatywnej.